ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Lipca. № 27. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. N. 23. 24. 25. 26. Rozmaitości.)

Ale przynajmniéj została mi jeszcze nadzieja miłéj wyprawy na dzień dzisiejszy: miałem odwiedzić moją piękną nieznajomę. Było-to wiele, i zadawałem też sobie wszelką pracę, by się nacieszyć do woli tą myślą. Ależ niestety wkrótce się przekonałem, że dziesięć godzin głębokiego snu, a przedewszystkiém powrót światła dziennego zatarły nieco jéj czarowny obraz i ujęły cokolwiek uroku jéj wdziękom. Obawiałem się zastać ją zdrową, ośmieloną obecnością matki, a może nawet zajętą jaką robotą domową. Rozważałem, że mnóstwo drobiazgowych przypadków, które niemogły się już powtórzyć, przyczyniło się do tego, by nadać jéj w moich oczach jakiś chwilowy powab, którym się zachwyciłem, jak gdyby w istocie był nieprzemijający. Nakoniec przypominając sobie pewne romantyczne projekta małżeńskie, które kilka godzin przedtem wydawały mi się jeszcze zupełnie naturalne, musiałem przyznać w duchu, że były wcale dziwaczne, a to z niemałą szkodą rozwijającego się we mnie uczucia, które przezto traciło niejako korzyść pomyślnego rozwiązania.

Tym-to sposobem odzyskiwałem powoli dawniejszy mój charakter. Przemijający płomień, który przez chwilę pałał w mojém sercu, przygasał stopniowo, i już znowu nudy, straszniejsze jeszcze niż przedtém, stawały mi groźnie u boku. A przecież, jak to zwykle powszednieje wszystko z doświadczeniem, niemogłem w żaden sposób stać się napowrót tém czém byłem. Każde wzruszenie doznane raz w życiu, pozostawia próżnię w sercu, któréj niczém zapełnić niemożna. W każdéj innéj podobnéj przygodzie nieznalazłbym już równie czystych wrażeń ani tego żywego wdzięku nowości i niespodzianki; a uczucie to, żem zmarnował bez korzyści kilka z tych kosztownych klejnotów, było mi zanadto dobrze znane, ażebym na dnie téj czary, którą upoiłem me zmysły, nieznalazł cokolwiek goryczy.

W takim to stanie znajdowałem się po upływie jednéj lub dwóch godzin rozmyślania. Wszystko stało mi się oboję-

tném; zapomniałem o moim polypie; nawet moje nawyknienia, które zwykle służyły mi do zabicia długiego czasu, straciły już swoją władzę, tak, że siedziałem nieruchomie przy moim ogniu, nieczując w sobie najmniejszéj chęci ani pozostać dłużéj, ani też oddalić się od niego.

W rogu mego zwierciadła zastałem zatknięty bilet, który mię zapraszał na dzisiejszy wieczór do pani de Luze; spoglądałem na niego obojętnie a nawet z odrazą; gniewała mię ta uprzejmość nie w porę, w któréj ostatecznie dostrzegałem tylko ukryty zamiar pani de Luze, by pochlebném swém przyjęciem ująć mię dla młodéj swéj kuzynki (przyszłéj méj małżonki z wyboru mego wuja); i cieszyłem się już naprzód tą myślą, że jéj niepowitam, że się odwrócę od niéj, że niebędę jéj słuchał śledząc zarazem z tajemną radością zakłopotaną twarz mojego wuja. Nie! mówiłem im wszystkim; daremne wasze zabiegi. Wczoraj jeszcze mogła uprzejmość wasza mieć jaki taki powab dla mnie; dziś straciła go zupełnie. Dziécię ubogie, skromne, nieznane otrzymałoby pierwszeństwo przed wami, gdybym kiedy czuł potrzebę się zakochać, lub najmniejszą chęć opuścić to miejsce, gdzie ziéwam przy waszych grzecznościach, nudzę się waszém przyjęciem. I by im to udowodnić jeszcze lepiéj, rzuciłem bilet w ogień.

— „Jakóbie!“

— „Pan mnie wołał?“

— „Zapal lampę i pamiętaj, że nikogo dziś nieprzyjmuję.“

— „Bardzo dobrze; ale szanowny wujaszek pański kazał powiedzićć, że przyjdzie zabrać pana z sobą na wieczór do pani de Luze.“

— „Kiedy tak, to niezapalaj lampy; wychodzę z domu.“

— „Zatém mam powiedzieć?....“

— „Nic.“

— „Gdy przyjdzie wujaszek...“

— „Milcz.“

— „A potém....“

— „Jakóbie, jesteś najnieznośniejszym ze sług, jakiego znałem....“

— „Świadectwo to wcale mię niecieszy.“

— „Bardzo wierzę, że ci się niepodoba...“

— „Zapewne, panie! ale....“

— „Ani słowa więcéj. Odejdź, zostaw mię, zgub się!“ I zabrałem się natychmiast do zaciągania butów, by wyjść z domu i wymknąć się memu wujaszkowi, którego natrętność wprawiłaby mię w najgorszy humor. Nie, mówiłem sobie, dopókąd ten człowiek nieprzestanie się opiekować mojém szczęściem, niebędę ani chwilę szczęśliwym! Co za nieznośna niewola! jak ciężko trzeba się dosługiwać spuścizny! Chciałbym spokojnie pozostać w domu; gdzie tam, muszę uciekać z niego! W téj chwili oderwało się uszko od cholewy; nieszczęście to przypisałem naturalnie memu wujaszkowi i sprowadzałem nań wszystkich mieszkańców piekła....

— „Panie!“

— „Przyszyj ten rzemyk, tylko prędko!“

— „Dobrze... ale — pański wujaszek jest tutaj!“

— „Głupcze! wiedziałem, że mi go sprowadzisz na kark. Ale mniejsza o to; niéma mię w domu: rozumiesz?“

Jakób wybiegł przestraszony niemając odwagi nawet wziąć but z méj ręki, którym gotów byłem poprzéć gwałtowne me uniesienie i gniewny wyraz moich oczu. Zaledwie wyszedł, ukazał się mój wuj promienny radością i na nieszczęście w najsłodszém usposobieniu.

— „Żwawo! żwawo! Edwardzie! Jakto, tyś jeszcze niegotów? Śpieszże się, a ja tymczasem ogrzeję sobie nogi.“

Nieznośna to rzecz zaprawdę ta poufałość przyjacielska, która bez ceremonii rozgaszcza się w cudzym domu, sadowi przy ognisku, rozkłada w najwygodniejszym fotelu, i roszcząc sobie jakieś prawo przyjaźni ani myśli o tém, że zakłóca spokojność gospodarza, narusza swobodę domową. Takiéj poufałości dopuszczał się za zwyczaj mój wujaszek, co samo przez się było już dostateczne, by oziębić moje przyjęcie; ale tą razą, rozdraźniony do najwyższego stopnia, przygryzałem usta i miałem wielką chęć powiedziéć mu prawdę od serca. Przyzwyczajony jednak dotąd miarkować się zawsze w słowach ze względu na przyszłą spuściznę, wolałem powstrzymać się jeszcze i pozostać w granicach przyzwoitości.

— „Mnie się zdaje“ — rzekłem najgrzeczniéj w świecie — „mnie się zdaje, kochany wuju, że pójdziesz sam dzisiaj, jeźli pozwolisz....“

— „Niepozwalam na żaden sposób; a dziś tém bardziéj niż kiedykolwiek. Dziś wieczór dobijemy targu. Ubierz się tylko starannie, bądź grzeczny i ile możności uprzejmy, a wszystko pójdzie dobrze. Ale pośpiesz się nieco, gdyż przyrzekłem, że przyjdziemy wcześnie.“

Dotknięty tém do żywego, że pozwalano sobie tak mną rozporządzać i zalecać mi nawet uprzejmość wtedy, gdym był do tego najmniéj usposobiony, odważyłem się na dobitniejszą nieco odmowę.

— „Kochany wuju“—rzekłem — „muszę ci się przyznać, że niémam najmniejszéj chęci iść z tobą.“

Na te słowa obrócił się śpiesznie mój wuj, by mi spojźrzéć w oczy. Tak niespodziany opór obalił wszelkie jego pojęcia o uległości dziedzica i przez chwilę niewiedział prawie, co odpowiedziéć. Wreszcie przypatrzywszy mi się dokładnie zawołał porywczo:

— „Cóż to ma znaczyć? wytłumacz się!“

— „Kochany wuju, namyśliłem się...“

— „A! więc o to idzie tylko? Niéma o czém mówić. Posłuchaj mojéj rady i nienamyślaj się więcéj, inaczéj nieożenisz się nigdy. Ja także się namyśliwałem, i o to jestem do dziś dnia kawaler i zostanę nim do śmierci. Jeźli i ty tak skończysz, majątek nasz przejdzie w cudze ręce i imię nasze wygaśnie. Nienamyślaj się dłużéj; zresztą niepotrzeba tego wcale. Namyślać się, gdzie odpowiadają wszelkie warunki; stopień, majątek, młodość i wdzięki — to niedorzeczność. Potrzeba działać i dążyć śpiesznie do celu. Ubieraj się i chodźmy...“

— „Niepodobna, kochany wuju. Namyślać się niebędę już dłużéj, ależ co do małżeństwa potrzeba przynajmniéj jakiejś skłonności z mojéj strony...."

— „Tam do licha! czyś postanowił już nieżenić się? Mów otwarcie, zobaczymy, czy to stanowczy zamiar!"

Słowa te wymawiał mój wuj głosem nader dobitnym, i zdawał się zostawiać mi do wyboru albo otrzymanie albo wyrzeczenie się spuścizny. Téj strasznéj ostateczności pragnąłem właśnie uniknąć, a niewiedziałem właściwie, jak temu zapobiedz. Szczęściem wpadły mi na myśl wczorajsze marzenia, i postanowiłem użyć ich za wymówkę.

— „A gdyby" — rzekłem napół z uśmiechem — „gdyby serce moje było już gdzieindziéj związane?...."

— „Wymówka!" — rzekł. — Wolisz powiedzieć otwarcie: „Niechcę się żenić;" a wiedziałbym, czego się trzymać."

— „A jeźli się mylisz, kochany wuju, i gdybym w istocie był zakochany, czy radziłbyś mi zaślubić twoją pannę, kiedym serce moje ofiarował już innéj?"

— „Zobaczymy. Kogo kochasz?"

— „Młodą i piękną osobę."

— „Czy bogata?"

— „Niezdaje mi się."

— „Jéj imię?"

— „Nieznam go."

— „A! tego już za wiela! Do licha! cóż to wszystko znaczy?"

— „To znaczy, że jakkolwiek uboga i nieznana jest ta młoda dziewczyna, to przecież, gdybym miał kiedy zamiar ożenić się, o czém teraz wcale niemyślę, niewahałbym się może przenieść ją nad każdą innę z wyższego świata."

— „Ha! ha! uboga, nieznana i piękna! To widzę miłostka co się zowie."

— „Miłostka? Na Boga, nie — mój wuju, zapewniam cię!"

— „No, żart na bok!"

— „Proszę mi wierzyć, że niémam najmniejszéj chęci żartować."

— „Ha! to nie do uwierzenia! Miéć tytuł, majątek i tak piękne stanowisko w społeczeństwie, i myśléć o osobie bez majątku i imienia!... Z takiemi pięknościami można miéć stosunek, ale któżby się żenił z niemi?..."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. Rozmaitości.)

Scena 5.

Prezes sam, później służący, później sekretarz.

Prezes *(dzwoni; wchodzi lokaj).*

Sekretarza mi wołać.

Służący.

Czeka, proszę pana.

Prezes.

No! niech wejdzie!

(Służący wychodzi i wpuszcza sekretarza, który zatrzymuje się przy progu.)

Prezes *(wyjmując z zanadrza zeszyt papieru i trzęsie nim z gniewem przed oczami sekretarza).*

A to co? Wiesz? Pytam Acana.

Sekretarz.

To sekstern.

Prezes.

A czyj sekstern?

Sekretarz.

To pana Henryka!

Prezes.

Cóż on robił w szufladzie Acana stolika?

Sekretarz.

Tego to, przepisuję.

Prezes *(przeglądając zeszyt).*

Widzę pracowicie!

Starannie!

(srogo)

Czy wiesz Acan, żeś sprzedał mi życie?
Dość płacę, abyś nie kradł u mnie mego czasu!
To tego, miejsca nie masz!

Sekretarz *(przerażony).*

Panie!

Prezes.

Bez hałasu!

Ja nie lubię rozkwileń!

Sekretarz.

Przebacz, Jasny Panie!

Cóż będzie z moją matką?

Prezes.

Niech co chce się stanie!

Niechaj idzie z torbami!

Sekretarz.

O! niech pan darnje!

Ja po nocach pisałem!

Prezes.

To tego, pojmuję,

Przy moich własnych świecach!

Sekretarz.

Już tego nie będzie!

Prezes *(po chwili milczenia).*

Nie Acana, a matkę twoją mam na względzie:
Przebaczę ci, lecz za to...

Sekretarz.

Wszystko co pan każe!

Prezes *(bijąc ręką po zeszycie).*

W téj powieści list piękny. Zaraz ci go wskażę.

(szuka)

Ot, tu!

(wyjmuje z zeszytu ćwiartkę, która ma formę listu)

Mnie on potrzebny, więc go sobie biorę,
Oddam go, ale późniéj, we właściwą porę.
A teraz Acan tylko, *to tego*:

(znacząco)

Wiem pewnie,

Że imitujesz tego podpisy.

(z udaną dobrocią)

Przyjemnie

Mi to będzie, *to tego*; dla żartu. Żartować
Lubię czasem. Czy możesz tutaj zimitować
Rękę pana Henryka?

(dobitnie)

Możesz!

(po chwili milczenia)

Mój kochany.

(Sekretarz siada koło stołu i pisze; prezes patrzy mu przez ramię.)

Wykapany

Charakter jego ręki. Podpisz, postaw datę;
Tak pięć miesięcy nazad. Dobrze!

(bierze list od sekretarza)

Za tę

Posłuszeństwo Acana, przebaczam ci winę,
I pozwalam kopiować daléj bazgraninę
Tego pana. Lecz pilnuj, bo ci nie zapłaci:
Poeci, to wiadomo, ludzie nie bogaci.
Idź Acan; ale trzymaj język za zębami,
Bo źle będzie!

(Sekretarz odchodząc zatrzymuje się u bocznych drzwi; prezes go nie widzi.)

(bijąc ręką po liście)

A teraz sprawa między nami!
O! mój panie Henryku, to tobie dogodzi!

Służący *(wchodząc anonsuje).*

Pan marszałek przyjechał.

(Sekretarz ukrywa się za drzwiami. Prezes wybiega na spotkanie marszałka. Po wyjściu prezesa, sekretarz wraca na scenę.)

Scena 6.

Sekretarz *(sam).*

O co jemu chodzi?
Coś grozi Henrykowi? Na co list ten wzięty?
Przepraszam, bo pan Henryk dla mnie niby święty.
Nie pozwolę! Lecz na co? Dowiedzieć się trzeba!
Podsłucham, wyszpieguję; i gdybym bez chleba
Miał zostać całe życie, na nic nie pozwolę,
Gdy pan Henryk ma cierpieć. Wolę zginąć, wolę
Żebrać, wolę umrzeć z głodu! Na co list ten? Na (co?
Coś podłego zamyśla ten stary ladaco!
(słychać kroki nadchodzących)
Poczekajcie panowie, i ja będę z wami!
(ukrywa się za obszernemi firankami u okien)
Nie pozwolę, o, za nic!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TAITI.

(Z pism Jakóba Arago.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 25. Rozmaitości.)

W roku 1801 omało nieprzyszło do wojny między Francyą a Taiti, i to przez nieostrożność jednego kapitana, który głównego bożka Kanaków, zwanego Oro, kazał przenieść na okręt i chciał go zabrać z sobą. Ale obecność dwóch angielskich okrętów skłoniła kapitana do zaniechania tego przedwczesnego zamysłu, i tym sposobem unikniono wojny.

Ale gdy obadwa angielskie okręta odpłynęły, zabrał chciwy kapitan bożka Oro, w czém mu pomocni byli ludzie z okrętu „Norfolk“ z wdzięczności, że ich ocalił od rozbicia. To było hasłem do wojny morderczéj, do wojny zpoza krzaków i skał, o któréj jeszcze po dziś dzień z grozą opowiadają. Krajowcy nazywają tę wojnę Te Tamai no Prua, t. j. wojną Pruy, po imieniu głównego dowódzcy powstańców. Pomare został pokonany w téj walce, wszedzie bowiem gdzie chciał stawić opór Europejczykom, ponosił klęski.

Odparty aż pod Motowai postanowił Pomare, cofnąć się z swymi najwierniejszymi poddanymi do Morey, by ztamtąd dokonać planu zemsty; ale misyonarze, którzy z Sidney oczekiwali kilka okretów z książkami, wdali się w tę sprawę i opierali się wszelkiemi siłami odjazdowi familii królewskiéj.

Licząc na pomoc ludzi z okrętu Norfolk, których sobie zjednał przyrzeczeniami, postanowił Pomare, uderzyć niespodzianie na insurgentów w Attahuro, gdzie po odniesioném zwycięztwie żadnéj niespodziewali się napaści. Napadł téż na nich rzeczywiście w nocy, kiedy wszyscy spali, i okropną rzeź wyrządził między wojownikami, kobiétami, dziećmi i starcami.

Ale krew srogo zamordowanych niechaj nie spada na Pomare, który szukał odwetu na zwyciężcach, niechaj spada na Szweda Andrzeja Lind, który na czele ludzi upojonych rozpalającemi napojami, sam dał przykład niesłychanego okrucieństwa.

Nieszczęście rzadko przychodzi samo; za wojną idzie głód, a głód jest poprzednikiem powietrza. Straszna zaraza, którą przywieźli majtkowie europejscy, szerzyła śmierć i rozpacz na wyspie, i pogrążała rodziny w żałobie. Długi czas była wyspa Taiti widownią nędzy i bólu.

Ale w końcu dzięki umiejętności i klimatowi położono tamę niszczącéj zarazie; uśmiech pojawił się znowu na ustach, a strapienie ustąpiło z duszy.

Oro przywrócony został świątyniom pogańskim, a lud utrzymuje, że to bożyszcze samo powróciło do lasu, w którym dawniéj stało.

O tym czasie umarł Pomare I; był-to mężczyzna słusznego wzrostu, a tak silny, że

z łatwością władał maczugą, którąby kto inny zaledwie podźwignąć zdołał. Czoło miał wysokie, włos czarny gęsty falisty, oczy jego miotały błyskawicę, słowo jego brzmiało jak z żelaznéj piersi, jednak pomimo téj olbrzymiéj budowy ciała, duszę miał łagodną, co mu jednało miłość u poddanych, a uwielbienie u cudzoziemców.

Imię Pomare ma swoje znaczenie. Rzecz jest taka. Król zwykł był robić częste wycieczki w góry i na jednéj z takich wycieczek zaziębił się bardzo, dostał mocnego kaszlu i znużony i chory powrócił do domu. *Mare* znaczy kaszleć, *Po* znaczy noc. Owoż u tego oryginalnego ludu jest w zwyczaju, że ludzie przybierają swe nazwiska od jakiéj ułomności lub od jakiego pamiętnego wydarzenia w życiu. W taki sposób nazywa się chromy Chromym, garbaty Garbatym, a tego co upadł, nazywają Upadłym.

Nadszedł rok 1836. Laval i pobożni misyonarze przybyli do Taiti. Prześladowani od krajowców, którzy im wzbraniali rozszerzać naukę Chrystusa, udali się misyonarze o sprawiedliwość do admirała Rosamel z prośbą, ażeby położył koniec uroszczeniom księży angielskich, którzy byli główną sprężyną prześladowań, jakich doznawali misyonarze francuscy. Admirał rozkazał kapitanowi Dupetit Thouars wziąć pod swoją opiekę mieszkańców francuskiego pochodzenia i ukarać winnych.

Francuska fregata „Venus" przybyła dnia 28 sierpnia 1838, a nazajutrz zażądał Dupetit Thouars satysfakcyi od królowéj. Anglia trzymała stronę królowéj Pomare.

Kapitan napisał do niéj w ten sposób: „Napiszesz list uniewinniający do króla Francuzów, ten list odbiorę jeszcze dzisiaj, a w przeciągu kilku dni przyszlesz mi na mój okręt dwa tysiące piastrów, na wynagrodzenie misyonarzy za krzywdy, któreś im wyrządziła. Dopełniwszy tych rozkazów, zatkniesz na twéj wyspie trójkolorową chorągiew i powitasz ją dwadzieścia jeden wystrzałami z dział."

Podpisany: *Dupetit Thouars.*

Tego samego wieczora przyniósł pewien kupiec żądaną sumę na pokład francuskiéj fregaty, i doręczył kapitanowi odpowiedź królowéj. Ta odpowiedź była następująca:

„Taiti 30 sierpnia 1838.

Do króla.

Pokój niech będzie z wami! Pragnę oświadczyć Waszéj Królewskiéj Mości co następuje. Był-to błąd z méj strony, żem się sprzeciwiała pobytowi dwóch francuskich obywateli. Niechaj Wasza Królewska Mość przebaczy to, com w tym względzie uczyniła. Oby pokój znowu był przywrócony. Panuję tylko nad małym, nieznacznym krajem; oby wiedza, sława i potęga była przy Waszéj Królewskiéj Mości; niechaj wasz gniew ustanie i przebaczcie mi błąd, który popełniłam.

Pokój niech będzie z Waszą Królewską Mością.

Podpisana: *Pomare.*

Do Króla Francuzów."

Gdy w ten sposób wszystkie warunki zostały dopełnione, zażądał Dupetit Thouars audyencyi u królowéj, chcąc jéj przedstawić jednego kupca tahitańskiego, pana Moerenhout, rodowitego Belgijczyka, jako konsula francuskiego.

Pomare odpowiedziała kapitanowi Dupetit Thouars następującym biletem:

„Drogi przyjacielu, pokój niech będzie z tobą! Otrzymałam list, któryś do mnie napisał, i wiem co się w nim zawiera. To jest moje słowo do ciebie kochany kapitanie. Nie naglij zbytecznie względem naszéj konferencyi, która się odbędzie jutro o godzinie dziesiątéj. To jest wszystko com ci miała powiedzieć.

Podpisana: *Pomare Królowa Taiti.*"

Do wyjaśnienia stosunków taitańskich, muszę tu wspomnąć jeszcze o małém zdarzeniu, o którém wieść aż do Europy doszła, a które długi czas poruszało całą wyspą.

Pewien cieśla francuski, imieniem Bremond, który od roku 1833 osiadł w Taiti, żył od czasu swego przybycia na wyspę z młodą Ka-

naczką i miał z nią już troje dzieci, które kochał prawdziwie ojcowską miłością. Niemógł jednak tych dzieci uznać za swoje, wyszła bowiem w nowszych czasach ustawa zakazująca wszelkie związki małżeńskie między cudzoziemcami a Kanakami. Ta ustawa była tak snrowa, że biedny Bremond, ile razy mu dowiedziono, że odwiedzał swą kochankę, skazany bywał płacić pięć piastrów na rzecz skarbu państwa.

Udał się więc na skargę do kapitana Dupetit Thouars, który protestował przeciw téj surowości. Ale królowa niedała się wzruszyć i napisała do króla Francuzów następujący list:

„Taiti, 8 września 1838.

Drogi przyjacielu!

Pokój niech będzie z Waszą Królewską Mością przez Jehowę i Jezusa, Pana pokoju.

Chciałabym wam powiedzieć co następuje, wam królowi Francuzów; niechaj się Wasza Królewska Mość niegniewa o to, co powiem.

Idzie tu o małżeństwo jednéj kobiéty z Taiti z mężczyzną, który należy do Francyi. Niemogę na to przyzwolić, ażeby się pobrali, ponieważ mamy ustawę, która zakazuje małżeństwo z obcymi; ale ta ustawa rozciąga się nietylko na Francuzów, lecz na wszystkich cudzoziemców z wszystkich krajów; niewolno im żenić się z kobiétami z Taiti, ponieważ my szanujemy nasze ustawy i niechcemy aby je nadwerężano.

List mężczyzny o którym mowa, jest już w drodze; myśli jego będą przedłożone Waszéj Królewskiéj Mości, ale niedaj sie Wasza Królewska Mość omamić tém, co on powiada. Może będzie utrzymywał, że dla tego mu niepozwalam żenić sie, iż dla mnie nie pracuje; ale to nieprawda, bo to się dzieje tylko z uszanowania dla ustawy. Bremond jest człowiek uparty, który nieszanuje ustawy.

Mocne napoje także są zakazane ustawami w Taiti; ale on niezważa na ustawę, lecz kupował mocne napoje, za co go sądzono i skazano. Ustawa nakazuje też ażeby odjechał i powrócił do Francyi.

Poźniéj kupił znowu mocne napoje, niechce ulegać ustawom; równie uporczywym był co do swego ożenienia: wiedział że ustawa zakazuje, ale nie zważał na to; wiedział także, że ustawa zakazuje mocne napoje, a tak samo sobie postępował.

Chciéj Wasza Królewska Mość posłać po tego człowieka, żeby powrócił do Francyi.

Pokój niech będzie z Waszą Królewską Mością.

Podpisana: *Pomare*.“

Łatwo pojąć, że król francuski niemógł przyjąć przepisanych sobie niejako warunków królowéj, a Bremond ożenił się z swą piękną Tahitanką, która, między nami mówiąc, była bardzo szpetna. Dla tego zamężcia musiano wydać nową ustawę, mocą któréj dawniejsza po części została zniesiona.

Tymczasem gotował się okręt „Venus“ do odjazdu, ale na jego miejsce zawinęły do portu dnia 9 października 1838 okręta „Astrolabe“ i „Zélé“ pod rozkazami admirała Dumont d'Urville, który właśnie przybywał z Mangerava. Ten admirał wystąpił bardzo surowo, rozmówił się z królową dość cierpko, zagroził naczelnikom europejskiemi kajdanami, i podyktował warunki, które na zawsze zabezpieczyć miały spokojność Francuzów w Papiti.

W rozmowie z królową rzekł Dumont d'Urville następujące słowa przechowane jeszcze potąd w archiwach wyspy:

„W Mangarava dowiedziałem się o złém obejściu, jakiego z rozkazu królowéj doznali francuscy misyonarze w Taiti. To spowodowało mię zmienić plan méj podróży, by żądać wyjaśnienia względem tak nagannego postępowania, a w razie potrzeby upomnąć się o satysfakcyę. Zdziwiło mię to tém bardziéj, zwłaszcza że młodą Aimatę poznałem już przed pietnastu laty i my Francuzi zawsze bardzo dobrze obchodziliśmy się równie z nią jak i z całą jéj rodziną. Wiem że komendant okrętu „Venus“ zupełnie załatwił tę nieszczęśliwą sprawę. Uważam przeto za rzecz zbyteczną, poruszać teraz powtórnie tę kwestyę; ale chcę wyrazić nadzieję, że królowa nadal wierną pozostanie swym przyrzeczeniom i zaniecha wszelkiego złego postępowania z Francuzami.“

(Dokończenie nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*